BIBLIOTEKA UNIWERSALNA
ARCYDZIEŁ POLSKICH I OBCYCH.

Lecz zaklinam niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.
Jul. Słowacki.

Wydawca: Adam Kaczurba
we Lwowie, Rynek l. 37.

Pan Dezydery Boczko

I SŁUGA JEGO

Pafnucy.

OBRAZEK Z PIERWSZYCH LAT EMIGRACYJNEGO ŻYCIA.

. . . ridentem dicere verum
Quid vetat ?
(Horatius, Satira I.)

Wydanie drugie pomnożone.

LWÓW.
Wydawca Adam Kaczurba
1884.

Drukiem S. F. Piątkiewicza w Przemyślu.

PAN
DEZYDERY BOCZKO.

I.

Na początku 1832 r. przybywszy do Paryża, nająłem mieszkanie w jednym z mniejszych hotelów w bliskości Palais-Royal.

Polacy wówczas byli w modzie — wszyscy Francuzi uśmiechali się do nich mile, nawet portyery czyli stróże domowi, u których zwykle dobry humor nie pojawia się, aż na kilka dni przed nowym rokiem, gdy każdy lokator musi im płacić podatek zwany ètrennes.

Mój portyer, dawny żołnierz z czasów cesarstwa, dowiedziawszy się żem Polak i że umiem po francusku, nie posiadał się z radości i oznajmił mi, że w tym samym hotelu mieszka inny Polak od dwóch dni z Niemiec przybyły — a choć nie sposób z nim się rozmówić, jednak widać że pan całą gębą, bo ma srebrną miednicę, wielki dywan w kwiaty, poduszkę safianową, szlafrok z futerkiem i służącego.

Portyer w te słowa przemawiał do mnie — a na jego głupowatej twarzy widać było wielkie uwielbienie dla bogatego Polaka i nie małą przychylność dla mnie, chociaż w mojej małej stancyjce nie było ani sreber, ani futer, ani makatów.

W parę godzin później, nowy mój przyjaciel francuski,

nie mogąc się zrozumieć z dawniejszym swoim lokatorem polskim, przybiegł do mnie błagając abym mu służył za tłumacza, bo pan ów gniewał się, a on nie wiedział o co.

Jużto dla uskarbienia sobie łaski odźwiernego, jużto może i ciekawością wiedziony, zszedłem o dwa piętra niżej objąć urzędowanie drogmana.

Polak ów, mogący mieć lat czterdzieści kilka, chudy i mały ale czupurnej miny, przechadzał się posuwistym krokiem po salonie, w szlafroku podbitym barankami krymskiemi, z fajką o długim cybuchu z wielkim bursztynem.

Wypuszczał on z ust jak z wulkanu, kłęby białego dymu, a za dymem szła lawa słów szybkich, silnym wyrzucona głosem.

— Te kanalie Francuzy nic nie rozumieją! Niemcy domyślniejsi daleko; — w Elblągu, mospanie, mówią po żmudzku, w Dreźnie, szyldy na sklepach pisane po polsku — a w Erfurcie oberżysta, który chciał mnie oszukać, zrozumiał gdym go nazwał s z e l m ą!

Tych słów właśnie dokończał, gdym ja poprzedzony przez odźwierneg », wszedł do jego apartamentu.

W kilka minut, po zwyczajnych komplementach przy pierwszym spotkaniu, zrobiliśmy znajomość, a gdym go zapytał z k i m ż e m a m h o n o r? — dowiedziałem się, iż zwał się Dezydery Boczko, że był sędzią powiatowym z zabranych prowincyj, — iż zostawił w kraju żonę i parę intratnych wiosek i był jednym z naczelników powstania.

Pan Boczko gniewał się o to, że gdy rozkazał portyerowi, aby mu sprowadził golarza i pomagając polskim słowom wskazywał giestami na szyję i brodę; — ten źle pojąwszy owe znaki, przysłał mu kupczyka z kołnierzykami i chustkami.

Przybycie moje położyło kres tej komicznej wojnie domowej; ale pan Dezydery nie łatwo się uspokoił i nie zaprzestał się dąsać i rzucać aż w chwili, gdy brzytwa golarza dotykając się jego szczęki, nakazała mu przezorną nieruchomość.

Postrzegłem, bez zadziwienia, iż scena ta cała bawiła niezmiernie, stojącego przy drzwiach w wytartym surducie szaraczkowym, dwudziestoletniego wyrostka, chłopaka z dowcipną twarzą i przebiegłem wejrzeniem.

Był to Pafnucy, służący pana naczelnika, który z Prus do Strasburga służył mu za stangreta, (gdyż pan Boczko przyjechał do Francyi własną kałamaszką, z tłomokiem i pościelą), a w Paryżu postąpił na lokaja i bicz zamienił na miotełkę.

II.

Pan naczelnik znalazłszy pod ręką tłumacza, uczepił się do mnie obiema rękoma i musiałem rad nie rad chodzić z nim po mieście i eksplikować mu wszystko.

Było to nieco mordującem, zwłaszcza w teatrach, gdzie mój towarzysz pytał mnie co chwila: A co on mówi? a z czego się to śmieją?

Drugą z nim rzeczą niezbyt wygodną było, iż musiałem ciągle mitygować jego burzliwy charakter, bo gniew siedział mu wiecznie za kołnierzem — i za najmniejszą okazyą brał się do kija na przechodzących i kupców.

Paryż dosyć mu się podobał.

Po długich dysputach przyznał, że to miasto daleko większe od Wilna a nawet od Warszawy; — sarkał tylko czasami że po garkuchniach nie było ani kołdunów, ani kwaszonych buraków, ani wędzonego półgęska — i że sklepy winiarskie takie brudne, iż ani sposób zajść na lampkę węgrzyna.

Pan Boczko zajmował się mocno polityką i lubił rozprawiać w tej materyi; — ale zbawienie Polski widział tylko w zebraniu się sejmu w Paryżu. —

Miał on wielkie poszanowanie dla owej władzy dla tego, iż w 1832 r. o włos co nie został deputatem.

— Gdybym mospanie (mawiał mi nieraz) był dniem wprzódy stanął w Warszawie, zasiadałbym na sejmowej ławie — bo w wigilią mego przybycia, sąsiad mój, który ani urzędu nie miał w powiecie, ani taki familiant i personat jak ja, okrzyknięty zastał posłem, gdyż nie wiedziano że miałem przyjechać.

W owym czasie, emigranci mieszkający w Paryżu zbierali się licznie w wielkiej sali przy ulicy Taranne nr. 12, gdzie była kontynuacya warszawskich honoratkowych klubów i gdzie codziennie dowodzono z hałasem, kto zdradził — a kto nie zdradził.

Głównie zaś rzecz szła o to: kto będzie rządził emigracyą.

A było dużo kandydatów.

Pan naczelnik poszedł parę razy na te ogólne zebrania i z początku podobało mu się niezmiernie towarzystwo za to, iż się wszyscy obywatelami zwali i że podobnie jak na wyborowych sejmikach w kraju, każdy miał prawo popisywać się z własnem krasomówstwem i przerywać mowę innym.

Ale gdy obywatel Krępowiecki zaczął deklamować cieniutkim głosem w imieniu uciemiężonych dwudziestu milionów kmiotków, — a ex-hrabia jednooki Gurowski, przed swoim odjazdem do Petersburga, wystąpił z argumentem, że póty u nas rewolucya się nie uda, dopóki ulice Warszawy nie będą wybrukowane czaszkami szlachty polskiej, — pan Boczko się przestraszył i wspomniawszy na swój klejnot rodowy i na zakopcone portrety wąsatych przodków, które w dworku swoim zostawił, — już więcej nogą na ulicy Taranne nie postał.

Najwięcej przesiadywał w domu i paląc fajkę uczył się wokabuł francuskich.

A gdy się zawiązało Towarzystwo Litewskie i Ziem Ruskich, wpisał się na członka i najregularniej chodził na sesye z głębokiem przekonaniem, że tym sposobem zbawia ojczyznę.

III.

Jednego ranka jeszcze w łóżku leżałem, gdy wpadł do mnie pan Boczko. — Z zapyrzonej jego twarzy i iskrzących się oczu, zrozumiałem iż zaszło coś nadzwyczajnego.

— Wstawaj pan! na miłość Boga żywego! musim iść do Trybunału, Mospanie!

— A cóż się to dzieje panie naczelniku? — rzekłem zrywając się na obie nogi.

— Oj dzieje się, dzieje infamia, Mospanie! Ten urwis Pafnucy głupstw mi nagadał i porzucił mnie.

— A to pan przyjmiesz innego służącego, albo co wypadnie jeszcze taniej, odźwierny usługiwać mu będzie.

— Nie oto tutaj idzie Mospanie! ja muszę reklamować u Trybunału, boć to przecie mój poddańczuk!

Nie łatwo było wytłumaczyć panu Dezyderemu, że we Francyi poddaństwa niema i że murzyni nawet, których kupiono za gotowe pieniądze na targu, stanąwszy na ziemi francuskiej, odzyskują wolność.

Po długiem opieraniu się i sierdzeniu, zrezygnował się przecie na takowe argumenta i opowiedział mi wszystkie szczegóły sceny zaszłej między nim a służącym.

O godzinie siódmej rano, gdy pan Boczko leżąc w łóżku, kazał sobie podać fajkę, Pafnucy uskutecznił zlecenie, ale poskrobawszy się w głowę powiedział śmiało:

— Ja przyszedłem panu podziękować za służbę!

— A to co się znaczy, — krzyknął pan sędzia, — czyś ty zwaryował Pafnucy?

— Nie zwaryował, panie, ale nabrał rozumu.

Byłem ja na ulicy Taranne i słyszałem, jak tam panowie sami uradzili, że my teraz wszyscy równi i że Pafnucy taki dobry, jak pan naczelnik.

My teraz jesteśmy jeden w drugiego obywatele, a obywatel obywatelowi służyć nie może bez poniżenia, więc i ja panu dziękuję za służbę.

Ważniejsze mamy obowiązki wszyscy; — i ja muszę radzić o zbawieniu ojczyzny, a nie pańskie buty chędożyć.

— W pasyą mnie wprowadził Mospanie, ten kanalia; zrywałem się już i chciałem dać paniczowi suchą łaźnię i wysmagać porządnie cybuchem, ale uciekł nic dobrego.

I jakoś to może lepiej się stało, bo bijąc, możebym był stłukł mój piękny bursztyn, który kupiłem w Rydze za dziesięć rubli, a tego hultaja cała skóra na grzbiecie tyle nie warta.

Tu pan Boczko zatrzymał się, otarł pot z czoła i dodał z westchnieniem:

— Otóż to wdzięczność mospanie! ja tego chama z chałupy bosego wziąłem do dworu; pielęgnowałem jak własne dziecko, w Krożach przez dwa lata uczyć kazałem, bo to chłopak był sprytny; tu w Paryżu odziewałem, poiłem i codzień franka na strawne dawałem.

A teraz oto zepsuli go intryganci, przerobili na hajdamakę!

— Oj źle się dzieje! sądny dzień mospanie! i jeżeli

sejm się nie zbierze i czegoś nie uradzi, to nas nasze fagasy i oficyaliści na latarniach paryskich wywieszają co do nogi; bo nic już u nich świętego niema, kiedy nie umieją szanować ludzi, co przecież piastowali urzęda w powiecie i nie wyszli sroce z pod ogona!

Długo jeszcze narzekał pan naczelnik, rozwodząc się szeroko przeciw wszelkim innowacyom i towarzystwom co rozdwajały emigracyą, aż w końcu, gdym mu dał się do woli wygadać i wysapać, uspokoił się nieco i poszedł do siebie ubierać się — gdyż za godzinę, miała być ważna sesya Towarzystwa Litewskiego i Ziem Ruskich.

IV.

Nazajutrz około południa, zastałem go w wyśmienitym humorze; właśnie tylko co wyszedł od niego malarz, który rysował jego portret do dzieła wydawanego wówczas przez Straszewicza, a w którem i pan Dezydery Boczko miał figurować, między sławnemi ludźmi Polski, jako jeden z naczelników powstania.

Przy wizerunkach miały być i biografie, a że świetne czyny, większej części tych unieśmiertelnionych, nie doszły do wiadomości historyków, więc niejeden musiał sam pisać swój życiorys.

Pan Boczko zabazgrał dwie libry papieru i uraczył mnie swoją prozą, która niezbyt była zabawną — nie mogłem się jednak wykręcić i musiałem słuchać do końca.

Największa część biografii poświęcona była wyłożeniu czytelnikom, przez jaki zbieg nadzwyczajnych okoliczności, nasz bohater przybył dniem zapóźno do Warszawy i przez to nie był obrany deputatem.

A nieodżałowana to była szkoda, bo jego energia i głęboka znajomość ludzi, byłaby niezawodnie zbawiła Polskę, przeszkodziła wypadkom nocy 15. sierpnia, skonfundowała

Krukowieckiego podstępy i ślamazarność Ramoryny; i sejm nie w zakroczymskiej karczmie, ale wśród broniącej się Warszawy, byłby zachęcał naród do wytrwania i wojny, i wotował dekoracyą z napisem: usque ad finem.

Jednem słowem pan Boczko oddawał sobie nie szczupłe pochwały i żałuję mocno, że nigdy mi nie wpadło w ręce dzieło Straszewicza, bo ciekawy jestem dotąd, na wiele linii zredukowała się owa dwulibrowa biografia.

Pan naczelnik był w złotym humorze; rozciągał się na kanapie, pokręcał wąsa i wypuszczał kłęby dymu z długiego cybucha, a za niemi jeszcze dłuższe cycerońskie peryody.

— Ták, tak mospanie! człowiek był przecie czemciś.

Nie siedziało się za piecem z babami; robiło się swoją powinność mospanie! to też zostawi się po sobie jaki taki ślad w kronikach krajowych; — i kiedyś opowiadając dzieje naszej walki, będzie można wyrzec jak ów starożytny Eneasz: quorum magna furs fui. *)

Widzisz mospanie, że nie zapomniałem łaciny, prawdać że do niej naganiano bizunem w Krożach, aleć dobrze robiono, bo przecież jakiś król nasz, podobno Stefan Wiśniowiecki (pan Boczko nie był tęgi w historyi), powiedział: Disce puer faciam te mościpanie!

Otóż puer się uczył i doszedł do mościpaństwa!

---

*) Słowa te, w ten sposób przekręcone, słyszałem cytowane na seryo.

V.

Kiedy niekiedy, wieczorami, pan naczelnik spraszał do siebie rodaków na pohulankę, na gadankę i na karteczki. Pan Dezydery był nieco kutwa, ale że miał krew polską i szlachecką w żyłach, lubił przyjmować u siebie.

Zresztą nie rujnowało go to bynajmniej, bo miał dostatkiem grosiwa i chodziły wieści, że nosił na gołem ciele kaftanik jedwabny watowany obrączkowemi dukatami, który mu przezorna żona, w chwili powstania, własną ręką uszyła, aby służył za pancerz przeciw kulom i biedzie.

Na owych wieczorach była zawsze herbatka z rumem, ciasteczka, prawdziwy wagsztaf ruski i ów niezbędny w owych czasach faraonik, jak gdyby przypomnienie dalekiej ojczyzny.

Zgrywali się bracia szlachta, ale się pocieszali myśląc, że pieniądze przynajmniej nie przechodziły do cudzoziemców, lecz między swojemi peregrynowały.

A że ojcowie nasi zwykli byli mawiać: h o d i e m i h i c r a s t i b i, więc była nadzieja odegranej.

Jak który wypróżnił kieszenie, to się zbyt nie martwił; zaciągnął się tylko wagsztafem, dolał do herbaty rumu kieliszek i gadał o zrewolucyonowaniu Europy.

Pan Boczko grał ostrożnie, s i s l e w y nigdy nie robił, na m a r t y n g a ł y się nie usadzał, a gdy mu posłużyła fortuna, to porzucał stolik zielony, siadał na kanapie i o sejmie gadał lub rozpowiadał dziwne dykteryjki i niestworzone baje.

— Jednego razu, mospanie! nieboszczyk cesarz Aleksander jadąc do Berlina, przejeżdżał przez nasze powiatowe miasto. Celniejsza szlachta z okolicy, a szczególniej personaci i urzędnicy, zebraliśmy się przed domem pocztowym i pan marszałek, w czasie przeprzęgu koni, przedstawiał nas monarsze.

Gdy na mnie przyszła kolej: pan sędzia Dezydery Boczko, zawołał marszałek.

Cesarz spojrzał na mnie, przyłożył palec do czoła i namyśliwszy się chwilę rzekł: pan Boczko z Dzienduliszek, nieprawdaż!

— Tak jest najjaśniejszy panie, — odrzekłem kłaniając się nisko.

— Słyszałem o wasędzi, słyszałem — rzekł uśmiechając się cesarz i odjechał.

Bardzo mi było dziwno, zkąd on mógł o mnie słyszeć i nieraz łamałem sobie nad tem głowę.

— A jużcić (rzekł ktoś z obecnych), zapewne nie wróble na dachu, ani myszy za obiciem gadały cesarzowi o panu, ale ktoś z przyjaciół pańskich.

Tak i ja myślę mospanie! a mam porozumienie na sąsiada mego Trzepalkowskiego z Blagowa, który był brat za brat z nieboszczykiem Aleksandrem, tak że nieraz po całych nocach ciągnąc czaj i kurząc lulki, w maryasza z sobą grywali; a grywali nie w sine papiery bumażne, ale złotem mospanie.

Pożyczałem ja jemu pieniędzy na podróże do Petersburga

i mam jeszcze ostatni jego oblig w pugilaresie. — On to zapewne przez wdzięczność, zrobił mi u cesarza renomę!

Podobnego rodzaju historyek nasłuchałem się nie raz i trzeba było udawać że się wierzy, bo pan naczelnik zaklinał się na mękę pańską, że to wszystko prawda.

Radziwiłł panie kochanku umarł oddawna, ale zostawił godnych siebie zastępców i gdy między Polakami natrafisz na łgarza, to już nie partacz, ale majster wyśmienity. Gaskon ani się umywał do niego.

Na dowód tego, przytoczę tu bajeczkę wierutną, opowiadaną na seryo przez jednego z gości na wieczorze u pana naczelnika.

— Kilka miesięcy temu (mówił nam) zdaje się, że w septembrze, pojechałem na wieś do jenerała Lafayetta, bo to mój dawny i dobry znajomy.

Przyjął mię bez ceremonii serdecznie; kazał wziąść konie do stajni, zasypać im obroku — a że to była godzina obiadowa, więc napiwszy się wódeczki, siedliśmy bez ceremonii do stołu.

Ledwo żeśmy zupę kończyli, aż tu turkot na dziedzińcu, trzask, prask z bicza.

Patrzymy, zajeżdża ogromna kareta sześciokonna.

Wybiegamy przed ganek, żeby obaczyć kto to: — Filip z córkami!

Lafayette ucałował się z królem, mnie przedstawił grzecznie a potem bez ceremonii zaprosił go na obiadek.

Filip zrazu się wzbraniał, ale córki mrugnęły na niego, więc przystał.

Zjedliśmy bez ceremonii doskonałą przerastałą sztuka mięsa z ogórkiem, pekelflejszu półmisek, ogromny tygiel zrazów

z kaszką radomską, pieczeń huzarską z sałatą a potem cukrów, wetów i specyałów bez liku.

Król je doskonale a Filipówny, dziewy dorodne jak łanie raczyły się bez ceremonii, szczególniej ciastem, pierniczkami i innemi delikatesami.

Gdy po obiedzie przyniesiono kawę i podano fajki, rozwiązał się Filipowi język i zaczął gadać bez ceromonii o polityce i o przywróceniu Polski.

Oj główka to nie makówka! sprytny człowiek — i gdyby mnie był nie prosił o sekret, tobym wam powiedział jakie jego w tem wyborne plany, ale obaczycie to później sami.

Podobałem mu się niezmiernie i odjeżdżając prosił mnie, żebym bez ceremonii bywał u niego. —

Odtąd chodziłem często do Tuilerów ale incognito tyłami, bo król się bał, aby Mikołaj się o tem nie dowiedział.

Gdy przyjdę bywało, to mnie fetują jakby jakiego książęcia w koronie a szczególniej Filipówny mi rade i tak żartują ze mną starym, że aż matka trochę dewotka, ale kobieta bardzo przyzwoita, musiała nie raz je łajać bez ceremonii.

Ale patrzajcie no jakiego figla mi wypłatał pan Filip, nie spodziewałem się tego po jego przyjaźni.

Niedawno temu, jednego wieczora graliśmy w pikietę i zostałem mu dłużny 20 franków, które pod słowem honoru obiecałem mu bez ceremonii odnieść za pierwszą okazyą.

Jakoś nieszczęściem tak wypadło, że przez tydzień cały nie miałem ani chwili wolnego czasu a właśnie nadszedł pierwszy dzień miesiąca. —

Idę po odebranie żołdu, aż tu kasyer zamiast 80 daje mi tylko 60 fr.

Z początku nie wiedziałem co to znaczy, aż nareszcie przypomiałem sobie ów dłużek karciany; król kazał mi bez ceremonii potrącić swoje 20 franków.

Przyznam się wam, że mnie to mocno ubodło, iż Filip tak mi uchybił, nie dowierzając oficerskiemu słowu.

Od tego czasu, poprzysiągłem sobie, że już więcej do Tuilerów nie pójdę — i nie poszedłem choć król pisał do mnie bez ceremonii, listy bardzo grzeczne!

Opowiadanie to jest autentyczne, znane prawie wszystkim Polakom mieszkającym w Paryżu — i przyznacie mi szanowni czytelnicy, iż obok niego łgarstwa Radziwiłłowskie są niczem i w kąt idą jak nie pyszne.

Na takich to dyskusyach, wieczorynkach, fraszkach i baraszkach, zeszły dwa pierwsze lata emigranckiego życia.

VI.

Tymczasem Pafnucy wybieżały na wolność nie zasypiał sprawy. —

Obywatele koledzy wyrobili mu pensyą jako cywilnemu Polakowi u komitetu francuskiego, zajmującego się wspieraniem emigracyi. —

Pafnucy przezwał się panem Pafnuckim, zrzucił szaraczkowy surdut a przywdział frak czarny, kosztem komitetu sprawiony i nie opuszczał ani jednego posiedzenia przy ulicy Taranne, wotując gorliwie odezwy do Węgrów, Żydów, Włochów, Moskali i t. d. z głębokiem przekonaniem, że tym sposobem zbawia Ojczyznę!

Umiejąc czytać i pisać i mając sprytu nie mało, w krótkim czasie nauczył się po francusku, lecz gdy komitet wypróżnił swoje fundusze i nie miał już czem płacić, Pafnucki jak inni, osiadł na koszu i przygniotła go bieda, a w Paryżu bieda straszniejsza jak gdzie indziej.

W pierwszych chwilach, żałował on pewnie dawnego miejsca u pana naczelnika, gdzie było mieszkanie i odzież i strawne, ale miłość własna nie pozwalała mu zrazu wziąść się do pracy; wolał więc żyć kasztanami pieczonemi i suchym

chlebem, a czasem i o głodzie dzień cały przebyć, niż się wziąść do jakiego bądź zatrudnienia.

Jednakże bieda przemogła dumę w obywatelu; nie wiedząc czego się chwycić, wszedł zrazu do fabryki zapałek chemicznych, zkąd po kilku miesiącach przykrej i niezyskownej pracy, dostał się wreszcie do bióra notaryusza, na roznosiciela aktów i listów, urząd który Francuzi nazywają malowniczo sauleruisseau.

Tutaj zarabiając 40 fr. miesięcznie i mając kiedy niekiedy małe obrywki od klijentów, porósł w pierze i przekonał się, że już nie zginie na bruku paryskim.

Cały tydzień biegał po mieście z komisami, a w niedzielę i święta, w spiczastym kaszkieciku czerwonym, w kamizelce à la Robespierre, w dawnym fraku komitetowym, z cygarem w ustach, — przechadzał się dumnie po bulwarach ze znajomymi Francuzami, i o bliskiej republice rozprawiał.

Straciłem go zupełnie z oczu, dopiero gdy się ukazał ów sławny manifest przeciw księciu Czartoryskiemu, nie pamiętam już w którym to roku, bo owego manifestu nie podpisywałem — przeglądając listę niesłychanie liczną oponentów, znalazłem na niej i imie pana Pafnuckiego.

Mówiono mi później, że ów cywilny Polak, po różnych kolejach losu został ajentem handlowym (commis voyageur) czyli jak to w emigracyi nazywano: komikiem.

Objeżdżał departamenta dla umieszczenia wina i araku i sprzedawał dzieło La Pologne pittoresque.

A że był wymowny i nie zrażający się niczem, więc raz przestąpiwszy próg prywatnego domu, póty z niego nie wyszedł, póki znudzony właściciel nie zamówił u niego beczki wina lub przynajmniej nie kupił książki.

Doskonale mu szły interesa i przy oszczędnem życiu, uzbierał sobie znaczny kapitalik. —

Zręczność jego tak była znaną powszechnie, że Francuzi kamraci tegoż samego rzemiosła, przybywszy do jakiego miasta, gdy się dowiedzieli, że Pafnucki przed kilkoma dniami ztamtąd odjechał, — nie rozpakowawszy kufra wsiadali na dyliżans spiesząc gdzieindziej, przeświadczeni że po odwiedzinach takiego mistrza nie było już w tem mieście nic do roboty.

Potworzyły się nawet liczne o nim legendy; najciekawszą z nich przytaczam. —

Pewnego ranku wchodzi p. Pafnucki do komptoaru jednego z pierwszych domów handlowych w Bordeaux i skłoniwszy się nisko, pyta:

— Czy pan nie potrzebujesz c o m m i s-wojażera?

Kupiec odpowiada, że w tej chwili wszystkie miejsca u niego zajęte.—

Nazajutrz i przez dwa dni następne, o tejże samej godzinie, Pafnucki niezrażony odmową, chodzi do Francuza ofiarując wciąż swoje usługi — i codzień z coraz kwaśniejszym humorem i mniej grzecznemi słowy odprawiają go z kwitkiem.

Piątego dnia nie ulękły Polak znów się pojawia. —

Kupiec zniecierpliwiony do ostatka, wręcz mu oświadcza, że jeśli jeszcze raz przyjdzie go nudzić, to każe go wyrzucić za drzwi.

Pafnucki kłania się nisko i znika, ale nazajutrz powraca; — i jak gdyby to była pierwsza wizyta, zapytuje nieśmiało:

— Czy pan nie potrzebujesz c o m m i s-wojażera?

Francuz osłupiał z zadziwienia—lecz nagle gniew jego się uhamował — uśmiech mu wystąpił na usta i podając rękę Pafnuckiemu, rzekł:

— Zaprawdę! mam już dziesięciu ajentów, ale takiego natrętnego i nieustraszonego człowieka jak waćpan, przyjmuję chętnie — bo mam nadzieję, że sam jeden więcej mi umieścisz towaru, niż tamci.

VII.

Pan Boczko miał kilka chwil uradowania, gdy się posłowie polscy zaczęli zbierać w Paryżu; — ale kiedy po długich staraniach i odezwach, niepodobna było dobrać się kompletu i zwołanie sejmu nie doszło do skutku, — pan naczelnik zgryziony i zagniewany, brzydkie słowa powiedział na oponentów i opóźnionych, — raptem przestał chodzić na sesye Towarzystwa Litewskiego i ziem Ruskich — i z rozpaczy wpisał się do nowo zawiązanej Konfederacyi, bo ta nazwa musiała mile brzmieć dla herbowego szlachcica, przypominając złote czasy wolności i swawoli, kiedy kwitły owe zgubne prerogatywy: Liberum veto, i neminem captivabimus nisi jure victum. —

Konfederacya krótkie miała istnienie. —

Jedynym faktem jej dziejów było to: że ambasada rosyjska patrząc na nią zapewne przez powiększający teleskop, uznała owe towarzystwo za grożące spokojowi Europy — i zażądała od francuskiego ministeryum, by konfederatów wydalono z Paryża. —

Pan Boczko, jak inni, odebrał rozkaz z prefektury policyi opuszczenia bezzwłocznie stolicy. —

A że Francya nie posiada Syberyi, więc wygnanie ograniczyło się na wydaniu paszportu do małego miasta w jednym z południowych departamentów. —

Bohater nasz skwaszony niepowodzeniami politycznemi i tą przymuszoną podróżą, zesmutniał, ztetryczał i takim stał się odludkiem, że w nowej rezydencyi zastawszy kilkunastu rodaków, nie chciał się z nimi znajomić. —

Najął sobie mieszkanie na przedmieściu w odosobnionym dworku i żył tylko z rodziną swego gospodarza, dyskutując o hodowaniu krów, karmieniu wieprzów i uprawie roli. —

Do miasta chodził tylko w niedzielę na mszą — a całe dnie przepędzał w polu lub w ogrodzie. —

Nowy Cyncynatus zstępując z tryumfalnego wozu, powrócił do siana grochu i sadzenia kapusty, — i spostrzegł z uradowaniem, że droga niezbyt daleka z Kapitolu do Dzienduliszek. —

Polacy osiedleni w miasteczku zawiązani byli w towarzystwo pod nazwą G m i n y. —

Na tygodniowych posiedzeniach prezydowanych przez każdego z kolei, sekretarz spisywał protokół — a mówcy nie zawsze zgodnie ale za to krzykliwie radząc o losach świata, sarkali nie pomału, że nowo przybyły ziomek nie tylko nie uczészczał na sesye, ale nawet nie chciał składać b r a t e r s k i e g o p o d a t k u na opłacenie kosztów bióra i korespondencyi.

Gmina przez długi czas czekała cierpliwie na poprawę grzésznika, lecz gdy ani ustne ani pisemne napomnienia nie skutkowały, zwołano nadzwyczajne posiedzenie dla wymiaru sprawiedliwości. —

Najznakomitszy mówca, podniósł głos oskarzenia na w y-

rodnego syna ojczyzny, który z naganną obojętnością odsuwał się od ogólnej sprawy.

Huczne oklaski potwierdziły zdanie oratora, jeden tylko z obecnych, stary wiarus z czasów księstwa warszawskiego zrobił uwagę, że nie przystoi obrońcom wolności używać despotycznych środków i tyranizować cudze sumienie.

Lecz słowa te zagłuszono krzykiem i śmiechem i przyjęto zredagowany przez prezesa wyrok, który brzmiał: że obywatel Dezydery Boczko ma być wymazan z listy emigrantów i uznan za niegodnego noszenia nazwy Polaka. *)

Trybunał, nie posiadając na swe rozkazy władzy wykonawczej, musiał poprzestać na pisemnem przesłaniu delikwentowi, wydanej na niego sentencyi. —

Szczęściem że pan Dezydery, (w mniemaniu że to jest nowe wezwanie przystąpienia do Gminy) nie odpieczętowawszy listu podarł go na drobne kawałki i wrzucił w komin.

Tym sposobem, nic nie wiedząc o wyrządzonej sobie zniewadze, uniknął wielu zmartwień i kłopotów, gdyż w przeciwnym razie byłoby przyszło bez wątpienia do pojedynków i gorszych może awantur.

---

*) Podobny dekret, opatrzony podpisami członków rady gminnej, na własne oczy czytałem wydrukowany w małym dzienniku polskim, wydawanym w Paryżu.

VIII.

Już ośm miesięcy trwało to jego wygnanie. —

Obora, kurnik i ogród zaczynały go nudzić, — natarczywość braci Polaków drażniła mu nerwy; — wzdychał więc za Paryżem i pisał list po liście do zamieszkałych tam przyjaciół zaklinając ich, aby mu wyrobili pozwolenie do powrotu.

Przy staraniach i protekcyach, minister dał się przebłagać. —

Pan Boczko, właśnie niedługo po owym doraźnym sądzie, otrzymał pożądany paszport i wsiadłszy tryumfalnie w dyliżans, ruszył w drogę do kochanego Paryża.

Pan Dezydery był w złotym humorze — wszystko mu się uśmiechało w tej podróży.

Czas ciepły — niebo słoneczne — a w środku pojazdu tylko dwóch towarzyszów i obaj fajczarze; — mógł więc bez przeszkody palić ulubioną lulkę i roztasował się wygodnie ze swemi manatkami, w jednym z kącików.

W czasie przeprzęgu koni w Lyonie, czwarty wojażer przystojny młodzieniec mogący mieć lat trzydzieści, wsiadł do dyliżansu i zająwszy próżne miejsce, zaczął w milczeniu przyglądać się sąsiadom. —

Mała a czupurna figura naszego bohatera, wąs zawiesisty i fajka z pięknym bursztynem, zwróciły szczególniej uwagę przybysza; — a skoro spostrzegł na wiszącym u guzika kapciuchu wyhaftowanego Orła z Pogonią, domysły jego zamieniły się w pewność — i przemówił do pana Boczka po polsku.

Znajomość między rodakami skojarzyła się szybko. Podróżny był emigrantem, zwał się Fafałkowski i mieszkał w Paryżu, dokąd powracał odbywszy dla własnej przyjemności (jak powiadał) małą przejażdżkę po Francyi.

Wszystko to było prawdą, wyjąwszy celu podróży; bo w istocie pan Fafałkowski był ajentem politycznej partyi i objechał kosztem braterskiego podatku, powierzone sobie zakłady polskie dla rekrutowania adherentów do świeżo zawiązanego w emigracyi towarzystwa, zwanego Zjednoczeniem.

Z początku, rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych: o zabawach paryskich i o klimacie południowej Francyi.

Pan Fafałkowski, jako biegły strategik, obchodził powoli fortecę dla dojrzenia słabej strony, a pragnąc ułowić rybę, wyszukiwał, jaki przysmaczek założyć na haczyk wędki.

Po krótkim czasie odkrył bez trudu, że sąsiad dyliżansowy jest człowiekiem pełnym próżności, więc postanowił wkraść się do jego serca ścieżką podchlebstwa.

A że pan Boczko kilka razy wspomniał o sejmie, rzekł do niego:

— Pan dobrodziej zapewnie był posłem?

— Nie! mospanie, nie byłem! — Tu nastąpiła długa relacya już nam znana.

— Co za nieodżałowana szkoda! — zawołał z westchnieniem Fafałkowski.

Jakaś fatalność wiecznie ciąży na naszym narodzie! Bo

przecież obywatel z takim wysokim rozumem i tak przekonywającą wymową jak pan dobrodziej, byłby wśród sejmu nie małą oddał przysługę ojczyźnie i nie dopuścił wiele głupstw i błędów, które nas zgubiły! —

Ten gęsty obłok kadzidłowego dymu nie zakrztusił bynajmniej chybionego posła.

Z nieutajonem zadowoleniem przyjął komplement za dobrą monetę — ścisnął po przyjacielsku rękę człowieka, który go tak umiał ocenić i zaczęła się poufniejsza między nimi rozmowa.

Droga z Lyonu do Paryża trwała przeszło dwie doby — a pan Boczko wygłodzony brakiem politycznych konwersacyj w samotnym dworku ogrodnika, puścił wodze językowi.

Fafałkowski przez cały dzień potakiwał mu we wszystkiem nie szczędząc admiracyjnych wykrzykników; — i dopiero nazajutrz, gdy wymiarkował, że zawojowany pan Dezydery oddał mu się z duszą i ciałem, zaczął jakby z niechcenia wygłaszać własne pryncypia.

Dowodził przeto, że wszystkie dawne opinie zużyły się i przepadły, że teraz zasady demokratyczne owładnęły Francyą, a więc i my Polacy w nich tylko znajdziem zbawienie. Że wśród partyj emigracyjnych, jedni demokraci umieją *działać* skutecznie i wywierają silny wpływ na kraj.

Że nowo zawiązane towarzystwo pod nazwą *Zjednoczenia*, odgadnąwszy *ducha czasu* i trzymając się drogi *postępu*, postawi Polskę na nogach; i że prawi synowie ojczyzny, jakiekolwiek dawniej były ich opinie, powinni jednoczyć się pod tę chorągiew. A w końcu dodał:

— Ludzie z tak znakomitemi zdolnościami, jak pan dobrodziej, przeznaczeni są na zasiadanie w głównej Radzie Zjednoczenia, by ztamtąd rządzić emigracyą i rozkazywać krajowi....

Ten ostatni argument, który pan Fafałkowski chował na dobitkę jako ową ogólną szarżę kawaleryi, co zwykle decyduje wygraną bitwy, rozbroił do reszty wahającego się Boczka.

Eks-członek towarzystwa litewskiego i ziem ruskich, i eks-konfederat wpisał się do Zjednoczenia, z głębokiem przekonaniem, że tym sposobem zbawi ojczyznę.

IX.

Ludzie słabego charakteru, muszą mieć zawsze przed sobą jakiś przedmiot do uwielbiania. Grecki posąg wyciosany w marmurze dłutem Praksytela, czy też potworny wizerunek indyjskiego bożyszcza, wszystko im jedno; byle tylko było przed czem klęknąć.

Pan Boczko straciwszy wiarę w sejm, zwrócił swoje nabożeństwo do demokracyi.

Zacięty arystokrata w duszy, pełen uprzedzeń i skryty nieprzyjaciel wszelkiego postępu, czyli jak to dawniej nazywał zgubnych innowacyj, pan naczelnik dla zyskania sobie popularności, małpując nowych swoich przyjaciół, zaczął się sierdzić i nazywać arystokratami tych wszystkich, którzy nie potakiwali jego słowom.

Wyuczył się od Fafałkowskiego zużytych formułek i oklepanych frazesów — i paplał trzy po trzy od rana do wieczora: że szlachta zgubiła Polskę, że szlachta zepsuta i nic już z niej nie będzie, że teraz lud jest wszystkiem i że każdego prawego Polaka powinno być dewizą (już wtenczas jako tako umiał po francusku) Tout pour le peuple et par le peuple.

Każdemu wolno wybrać sobie opinią polityczną, którą osądzi za najlepszą — ale wybrawszy ją, powinien przyjąć wszystkie jej następstwa i starać się, aby jego czyny nie kłamały słowom.

Nieszczęściem pan Boczko w tym samym czasie, gdy tak piorunował na szlachtę, kazał sobie odbić u sztycharza, na porcelanowym papierze bilety wizytowe z ogromnym herbem i z partykułą de.

Jako sumienny historyk, dodać jednak muszę, że pan naczelnik nosił w kieszeni podwójne bilety: dla Polaków, Boczko bez herbu — dla Francuzów, de Boczko z herbem. Ale wydała się komedya i ubawiła nas nie mało!

Bohater nasz, wpisawszy się do Zjednoczenia, choć nie wiedział dokładnie o co rzecz idzie, uczęszczał gorliwie na posiedzenia, wotując wraz z innymi przez cały rok na utworzenie komitetu, który nigdy się nie mógł utworzyć, bo na dwanaście miejsc, przedstawiano zawsze blisko stu kandydatów, żaden więc nie posiadał wymagalnej większości.

Pan Boczko także otrzymał kilkadziesiąt głosów, których liczba przy ponawianych wyborach, to zmniejszała się, to powiększala, lecz wiecznie bez rezultatu.

Schlebiało to jednak jego miłości własnej i nabrał jeszcze większej wiary w gwiazdę swego przeznaczenia, gdy ksiądz Praniewicz w swojej Bakowskiej epopei napisał i o nim cztery wiersze, porównywając go z Aleksandrem Wielkim, czy też z Władysławem Laskonogim — nie pomnę!

Była to najświetniejsza epoka emigranckiego życia dostojnego naczelnika.

Jedna tylko chmurka zaciemniła mu horyzont tak, iż przez chwilę zwątpił o swych politycznych zdolnościach. Oto redaktor Nowej Polski, który nieubłaganym biczem chłostał

ciągle winnych i niewinnych, pochwalił go w jednym z numerów swego dziennika. —

Mówią, że Pan Boczko rozchorował się ze zmartwienia i dnia tego opuścił ważną sesyą Zjednoczonych, gdzie po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty, miano ostatecznie wotować na wybór członków komitetu.

Zresztą owe bezustanne a bezskuteczne kreskowania, poczęły się wydawać zbyt monotonną rozrywką dla niecierpliwego humoru pana naczelnika.

Obiecane przez Fafałkowskiego dostojeństwa opóźniały się — nudził się, mruczał i gderał, i zwracał niekiedy tęskne wejrzenia ku innym partyom emigracyjnym.

Gdy Towarzystwo trzeciego maja zaimprowizowało narodową dynastyę i króla de facto, pan Boczko choć to niby demokrata, miał chętkę przystąpić do elekcyjnej szopy i głosować afirmative jako elektor de jure, — lecz Fafałkowski czuwał nad swoim uczniem a raczej jeńcem i nie dopuścił podobnego przeniewierstwa.

Towiańszczyzna nęciła go z początku: Prorok bowiem przyjechał do Francyi nie na ognistym wozie Eliasza, lecz po prostu tak, jak on sam niegdyś parokonną kałamaszką litewską; a między apostołami nowej wiary było kilku jego sąsiadów i przyjaciół.

Jeden z nich zawiódł go na konferencyą do Nanterre i Towiański oświadczył, że pan Boczko ma wielkiego ducha szarego w małem swoim ciele.

Słysząc tak pochlebne o sobie zdanie byłby się może dał ułowić, gdyby nie ceremoniał przyjęcia, który mu się nie podobał; gdyż mu kazano, jemu naczelnikowi i sędziemu, padać do nóg i całować buty ex-rejenta!

Nabrał także nie małej odrazy do owej sekty, kiedy przy

powrocie do Paryża, towarzysz podróży zaczął mu wykładać doktrynę metampsykozy i ręczył na seryo, iż sobie przypomina dokładnie, że w jednym z poprzednich żywotów, on i pan Boczko byli obaj razem żubrami w Białowiezkiej puszczy.

Chociaż żubr należy do arystokracyi zwierzęcego plemienia, harda dusza pana naczelnika oburzyła się słusznie na przypuszczenie, iż mogła kiedyś zamieszkać w czworonożnym ciele!

Partya wojskowa chciała go zagarnąć do siebie, zapewne jako znakomitego strategiga (czego dawał dowody przy faraonie i innych grach hazardowych), ale bohater nasz dowiedziawszy się, że całe towarzystwo składało się tylko z dwunastu osób i że on miał być trzynasty — przeląkł się tej cyfry złowrogiej, jak djabeł kropidła.

Powrócił więc do Zjednoczenia i znów przez rok wotował bezowocnie na komitet, z głębokiem jednak przekonaniem, że tym sposobem zbawia ojczyznę! —

X.

Parę lat temu, jadąc do wód w Pireneje, zatrzymałem się dla widzenia jednego z moich znajomych Francuzów, w małem miasteczku Gaskonii.

W kilka godzin po moim przyjeździe, przyjaciel mój zapoznał mnie z młodzieżą tameczną, doborem lwów prowincyonalnych, którzy dowiedziawszy się żem Polak, donieśli że jest w mieście od tygodnia jeden z moich ziomków, zasłużony oficer z znakomitej familii, któremu car skonfiskował milionowe dobra i który teraz dla zarobku, zmuszony jest robić portrety Daguerrotypem.

Polak ten, mówili, nazywa się pan de Pafnucki.

Ledwiem nie parsknął od śmiechu usłyszawszy to imię, jednak zaciąłem zęby, bo na cóż było przed cudzoziemcami brudy nasze odkrywać.

Odpowiedziałem tylko, że słyszałem o owym Pafnuckim, ale że on jest z innej jak ja prowincyi, więc ani jego familii, ani dóbr jego nie znam.

To jednak ręczyć mogę z pewnością i słowem honoru stwierdzić, że on nigdy w wojsku nie służył, chyba jak to u nas żartem w Polsce mówią, w marynarce konnej.

Spojrzeli po sobie Francuzi z utajonym uśmiechem — i pewny jestem, że niektórzy z nich, których wygadany Pafnucki swemi milionami odurzył, wzięli mnie za wierutnego łgarza.

Mój jednak przyjaciel, który mnie znał dobrze i który nie był w ciemię bity, zrozumiał że w tem jest jakiś nieczysty interes, i że pan de Pafnucki jest to podejrzana figura.

Nie długo potem spotkałem się z ekslokajem pana naczelnika. Ledwie żem go poznał, wyrósł i ułożył się.

Szkiełko w oku, zegarek ze złotym łańcuchem, szpinka do chustki z turkusem, pierścienie na wszystkich palcach, wymowny, pochlebiający wszystkim, kłaniający się nisko, z wiecznym uśmiechem na ustach, słowem istny szarlatan.

Udał że mnie nie zna, ja też rad z tego, nie chciałem mu przypominać dawnej znajomości paryskiej, gdy w przedpokoju pana Boczko czyścił cybuchy.

A choć mi nadskakiwał natrętnie, tak go zimno przyjąłem, iż prawie oniemiał i nie śmiał gadać przy mnie Francuzom, ani o swoich szlifach, ani o antenatach i skonfiskowanych wioskach.

Gdym wrócił do Paryża i opowiadał tę scenę znajomym, ktoś z obecnych doniósł nam, że ów dawny Pafnucy, zebrał do dwudziestu tysięcy franków na różnych spekulacyach handlowych i ze zmianą fortuny, zmienił i dawne polityczne ideje. Kamizelki à la Robespierre już nie nosił, przeciw arystokratom nie deklamował, a z dawnymi znajomymi buzingotami nie witał się, aby mu nie zbrudzili białych jego rękawiczek i nie skompromitowali w oczach prefekta, który dał mu się odurzyć i na bale go do siebie zapraszał.

Dla tego też bez zadziwienia wyczytałem później w jednym z numerów Trzeciego Maja, oświadczenie pana Pafnuckiego nadesłane z Departamentu ***, w którem donosił światu i emi-

gracyi, wszem w obec i każdemu z osobna komu o tem wiedzieć należy, iż żałuje mocno tego, iż kiedyś podpisywał manifest przeciw księciu Czartoryskiemu; że wówczas był oszukany i wciągnięty podstępem; a teraz gdy mu się otworzyły oczy, poddaje się bezwarunkowo pod władzę dostojnego księcia i przysięga mu wierność i posłuszeństwo!

XI.

Dziwna to kolej rzeczy ludzkich na tym świecie! Istna komedya pełna kontrastów i niespodzianek, w której aktorzy nie zawsze dogrywają do końca powierzone sobie role; w której nieraz F r o n t i n tak raptownie przerzuca się w M a r k i z a, a G e r o n t ub A l c e s t w A r l e k i n a, że spektator często śmiać się musi wśród sceny poważnej, a czasami czuje łzy w oczach patrząc na buffonadę!

I nasi bohaterowie, wyszli z dwóch przeciwnych zupełnie punktów, tak się zabłąkali po drodze, że jeden zajął stanowisko drugiego, i każden z nich przywdziawszy nowy strój teatralny, odgrywa teraz nie swoją rolę w tej maskaradzie!

Pafnucy chudy pachołek, własnym przemysłem doszedł do tysiąców, posiada akcye na drogach żelaznych i może nie długo wyjdzie na bogacza, bo ludzie tego rodzaju szybko pną się do fortuny.

Niegdyś zapalczywy demagog, d o l a ł teraz (jak mówią Francuzi) w o d y d o w i n a, nabrał arystokratycznych pretensyj i oto przychodzi z gotowem ramieniem podpierać chwiejące się stropy idealnego tronu.

A pan jego dawny, Dezydery Boczko, sędzia powiatowy,

naczelnik powstania, szlachcic z pradziadów, personat i familiant, jak sam zwykł był mawiać, człowiek co kiedyś chciał cybuchem okładać i przed trybunałem reklamować poddańczuka, rzucając się bez namysłu w różne strony, wpadł z Konfederacyi do Zjednoczenia a ztamtąd zabłąkał się aż do Centralizacyi!

Dzisiaj pan Boczko, choć jeszcze nosi na palcu sygnet z krwawnikiem, na którym wyrzezany jest Półkozic, pieni się z wściekłości na samo wspomnienie szlachcica; uczy się na pamięć Prawd Żywotnych i Katechizmu Demokratycznego, rozprawia o równości i wszechwładztwie ludu, a o gilotynie gada, jako niegdyś o sejmie, to jest jak o jedynym środku zbawienia ojczyzny!

XII.

(POST-SCRIPTUM.)

Emigracya nasza, dziwny przedstawia dzisiaj widok. — Rozstrzeliliśmy się na drobne kupki i każda kupka buduje sobie z pośpiechem nową wieżę Babelu, z własnych materyałów, podług własnej idei.

Ale po piętnastu latach zabiegów, pracy, krzyków i kłótni, cóż zbudowała która partya?

Zaprawdę powiadam wam: zużyliście wiele sił na próżno, straciliście marnie wiele czasu i obłąkaliście nie jedną słabą głowę.

Za to też pomięszały się wam języki, nie wiecie sami co począć dalej i chyba kiedyś, głos powstającej ojczyzny, obudzi was z tego szału i do jednego szeregu zbierze!

Najwięcej zaś żal mi tych z moich rodaków, co czasem z najlepszej chęci, rzadko z interesu a najczęściej ślepym trafem pędzeni, rzucali się bez namysłu z jednej partyi w drugą, obiegli wszystkie i znaleźli się w końcu wśród elementów całkiem przeciwnych swojej naturze, jak po nagle opadniętej powodzi, rak na wierzchołku suchej wierzby.

Pan Boczko jest wizerunkiem tych ludzi.

W pisemku mojem, niema żadnych osobistości i bardzo bym się smucił, gdyby ktoś chciał wyszukiwać podobieństwa z tą lub ową osobą.

Dezydery nie jest portretem, ale typem zbiorowym wszystkich śmieszności emigracyjnych.

Podobny jemu zupełnie człowiek nie znajduje się między nami; ale każdy z nas obrachowawszy sumienie przyzna, że były w nim dawniej, a może i są jeszcze niektóre wady i dziwactwa pana naczelnika.

Spodziewam się przeto, że czytelnicy różnych partyj z pobłażaniem a bez gniewu odczytają te kartki, bo to wszystko jest krytyką tylko a nie wyrokiem potępienia.

Szczere opinie szanuję — ale śmieję się z ludzi, którzy nie mają żadnych i którym się tylko z d a j e, iż mają tę lub ową opinią, dla tego też tak często je zmieniają biegając od Sasa do lasa, od Anasza do Kaifasza.

Emigracya dzisiaj przykładnie pracuje na kęs chleba, poczciwie się prowadzi i chwała Bogu! coraz mniej wśród nas takich indywiduów jak Pafnucy, który także nie jest żadnym portretem, ale typem zbiorowym owych spekulantów i awanturników, co wyszedłszy hołyszami z kraju, grali przed Francuzami rolę wielkich panów, zrujnowanych konfiskatą i na lep polskiego imienia łowili pieniądz u cudzoziemców.

Jako przed wiekami w Sparcie upajano Ilotów i wystawiano na pośmiewisko dzieci, aby te od młodości w obrzydzenie wzięły opilstwo; tak i ja oto dzisiaj nie dla dzieci ale dla nas starych i niepoprawnych grzeszników ustroiłem dwie komiczne postacie Dezyderego i Pafnucego i postawiłem jako przestrogę nauczającą przed oczy towarzyszów tułactwa!

Czy się poprawią? Nie wiem, ale radbym z całej duszy!

Cierpim wszyscy — za Polskę. — Myślem wszyscy wiecznie — o Polsce! Gotowi jesteśmy wszyscy poświęcić się — za Polskę! — A więc mamy wspólny sztandar, około którego z braterską miłością kupić się należy a nie radzić pokątnie i zawistnie patrzeć jedni na drugich.

Dynastyk czy Demokrata, zjednoczony czy scentralizowany, katolik, Towiańczyk, wojskowy, cywilny, Litwin czy Mazur, czyż nie mamy jednej wspólnej i szczytnej myśli, która nas łączy — widzieć Polskę naszą wolną i szczęśliwą?

Sztandar ten święty, stoi wywieszony ponad głowami naszemi, ale niestety! zamiast okolić go wspólnem ramieniem, każda partya ciągnie go ku sobie i woła:

— Chodźcie do mnie, mam sztandar i będę was prowadzić, bom ja tylko rozumna i moje tylko zasady zbawią.

Przysądzacie sobie skórę na niedźwiedziu a niedźwiedź jeszcze w lesie!

Oto wiecie co — porzućmy kłótnie, pójdźmy razem na wielkie polowanie, a jak zwierza ułowim, to będzie czas targować się o skórę!

Pisano w styczniu 1846.

KONIEC.